

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok VIII.

Warszawa, dnia 22 kwietnia 1916 roku.

Nr 17.

Rocznica śmierci Szekspira.

(† 28 kwietnia 1616 roku).

John Ward, proboszcz stratfordzki — zanotował w swoim dyaryuszu:

„Shakespeare miał wesołe spotkanie z kolegami po piórze, Michałem Draytonem i Ben Johnsonem; pili, jak się zdaje, za dużo, i Shakespeare umarł na gorączkę, której się wtedy nabawił”.

Historia zaś dzień ten zanotowała w swoich wspomnieniach purpurową tęczą artystycznych rozkoszy, które pozostawił po sobie w spadku genialny Will, aktor i poeta. Czas przesłonił mgłą srebrną postać Szekspira-człowieka i wyolbrzymił oblicze jego duchowe. Dziś dla skarbów tej duszy w mozołe odgrzebiwani zamilowani szekspirologowie wszystkie pyłki i pyleczki; wspomnień o twórcy „Hamleta”. Przez dwa wieki trwa dopiero to dzieło misternej, mroźniejszej pracy. Wyszukano, ile miał długów, ile majątku, jak urządził swoje interesy — a wszystko z pietyzmu dla pamięci arcyministra sceny.

Dnia 23 kwietnia roku 1616 w rodzinnym mieście Stratfordzie zmarł pięćdziesięciodwuletni William Shakespeare — i dziś po trzystu latach śmierć ta wywołuje dopiero w całej cywilizowanej ludzkości pojęcie, kogo straciła Anglia. Nie mógł bowiem powiedzieć i przewidzieć nikt ze współczesnych mu, że „twórczość Szekspira stanie się źródłem wieczystej rozkoszy estetycznej, że do dramatów jego wracać będą pokolenia po siłę i myśl”. Wysoko go stosunkowo honorowano. Proboszcz Ward bowiem zanotował, iż „dostarczał scenie po dwa dramaty rocznie, za co brał placę tak wielką, że wydawał — jak słyszałem — 1000 funtów rocznie”.

Po śmierci jednak niebawem za-

pomniano o dziełach wysoko honorowanego aktora-autora. Burze religijne i polityczne 17 wieku wstrząsnęły tak życiem angielskim, że nawet dla Szekspira nie znalazło się miejsca. Dopiero w 18 wieku sława Szekspira odżyła z powrotem. Johnson, Pope, Stevens, wreszcie genialny Garrick zapewniają im niepodzielne królestwo na deskach scenicznych. Poza granice Anglii twórczość Szekspira wybiegła, dzięki zainteresowaniu Voltaire'a, spopularyzowali zaś jego dzieła Niemcy.

W Polsce kult Szekspira sięga czasów naszych państwowych i od tej pory każde pokolenie nasze składa mu przynależną daninę. Do rzędu cześciel; Szekspira należą tak piękne postacie, jak St. Koźmian, Matlakowski, Wyspiański, Słowacki przez Szekspira budził loty swoich natchnień dramatycznych. Konzeniowski gorliwie go studiował i przekładał, Kasprówcz, Paszkowski, Ulrich, Plug, Betcikowski, Lubowski, Komierowski, ks. Hołowiński i tyłu, tylu innych próbowało przyswoić dzieła Szekspira mowie naszej.

Dopiero jednak Wyspiański pierwszy pragnął Szekspirowskiego Hamleta przetransponować na psychikę zainteresowań czysto polskich i sprowadził duchową jego tragedję do orzeczenia: „W Polsce zagadka Hamleta jest to, co jest w Polsce do myślenia”. Śmiała ta myśl niech mu będzie policzona jako wyteżone marzenie, by w Polsce nie przeżuwano cudzych, obcych wzorków, lecz współtwórczo stawano w stosunku do dzieła ducha.

Jeszcze dziś, gdy stajemy wobec Szekspira, choć tyle napłodzono już studyów, komentarzy, choć usiłowano odtworzyć estetykę twórczości autora „Snu nocy letniej”, uderza nas

odwaga, polot i niewyczerpane zasoby natchnień, które gardzą wszelkimi formułami. Wielki artysta stwarza własne swe kanony piękna. Nawet dla uczuć wyszkolonych na przepisach francuskiego teatru Szekspir będzie wzorem, jak należy czuć, by mógł narzucić wizję z siłą na słuchacza.

Z przykładu co do Szekspira warto też, by różni rodzimi esteci nauczyli się oględniej wygłaszać różne przepisy i zasady, według których „powinna” realizować się twórczość polska. Ileż to bowiem napisano nam pewników, że wprowadzenie czynnika fantastycznego w dramata mieszczkański rujnuje całość wrażenia, a przez to też osłabia wartość dzieła! Uwagi te zostaną, jako dokumenty umysłowości. Dzieło zaś pozostanie i żywą krynicą swego natchnienia przemówi zawsze do słuchacza, nie troszcząc się wcale, czy to podobą się regułom i zasadom. Twórczość bowiem, jak i życie, można ujmować w paragrafy, ale życia nie wyczerpie się przez martwą formułę. Szekspir, jako zawsze obecny myśliciel-artysta, co dla twórczości swojej szukał tylko źródeł w logice swego serca i mózgu — niech będzie przykładem dla śmiałych lotów naszej poezji.

W Krakowie rocznicę śmierci obchodzić będą teatry wystawieniem „Troilusa i Kressydy” w teatrze miejskim, a w teatrze ludowym dadzą „Sen nocy letniej”. U nas, w Warszawie, tylko Teatr Polski pomyślał nad godną uroczystością przypomnienia święta Szekspirowskiego. P. B. Gorczyński przygotował na ten dzień „Kumoszkę z Windsoru”. Pamięci Szekspira należy się hołd. W panteonie ludzkości zajął on przecież miejsce wyższe ponad chwilową nienawiść, waśni i wojnę. Nawet Niemcy dzień ten cześć będą w pietyzmie i szacunku dla tego genialnego wroga.

Eustachy Czekalski.



L I L I .

3

— Te przynajmniej są szczerze! — myślał Świda.

Powoli poznał je z widzenia wszystkich i z daleka rozróżniał każdą po kapeluszu, ruchach i sposobie unoszenia sukni.

— Niejedna Lilij na świecie — powtarzał coraz częściej, ilekroć zbliżała się któraś z przystojniejszych, ale nie miał sił podnieść się z ławki i tak miały kolejno, by po pewnym czasie przeciągnąć z powrotem. Kiedyś jednak natknął się w wąskiej ulicy na nieznajomą. Trącona niechęcący, obróciła się na pięcie i ze słowami: — Idziemy! — wzięła go pod rękę i przycisnąwszy kilkakrotnie, łokieć do sprężystej piersi jego, puściła go i poszła przodem.

Świda szedł krok w krok, zagąsły zupełnie, tak jak przybłąkany pies, który zgubił pana i idzie za pierwszym napotkanym przechodniem.

Przed samą jednak czeluścią bramy, w której znikła, zatrzymał się.

— No — usłyszał z ciemności jej dość świeży głos, a wkrótce ukazała się sama.

— Nie bój się, schodów niema — ujęła go za rękę i wówczas Świda poczuł w dłoni zimno obrączki.

Wzdrygnął się cały.

— Co tobie?

— Słuchaj — ja pójdę — z trudem zdobył się na parę wyrazów i odwrócił się gwałtownie.

— Waryat! — usłyszał za sobą zirytowany głos. — Nie bądź głupi — dogoniły go słowa.

Zawałał się, przystanął na moment i zgiąwszy się w pół, jakby schwytyany skurczem, powlókł się do domu.

Noc minęła bezsenne. Po godzinach martwoży następowały chwile takiego rozdrażnienia, że miał ochotę wyjść na ulicę, odszukać nieznajomą i przyznać, że istotnie był głupi, ale powzięty zamiar rozsypywał się nagle i pozostawały jedynie suche okruciny i tkanki spłowiłych myśli, których się nawet już wiązać nie silił.

— Muszę wyjechać — zdobył się nad ranem na jedno wyraźne postanowienie.

Poczuł, że musi czemś zaważyć wyrwę w duszy, którą wyżarło cierpienie, byle czem zalepić ranę serca. Przypuszczał, że wśród nowych wrażeń zapomni się, że zmiana miejsca spowoduje zmianę nastroju.

Zastanawiając się nad praktycznym wykonaniem tego projektu, doszedł do wniosku, że musi sprzedać drugie wydanie noweli za cenę, którą mu ofiarowywał wydawca, a którą Lilij, jako zbyt niską, odrzuciła.

Pomny jej rad, że należy sprawę traktować w taki sposób, by kupiec się nie domyślał, że gotówki potrzebuję, ubrał się w najporządniejszy garnitur i z tem pewnem skuleniem serca, którego doświadczał zawsze, ilekroć mu wypadało sprzedawać własne utwory, wszedł do księgarni. Szef firmy stał właśnie za ladą.

— Moje uszanowanie panu — zawołał, ujrawszy poetę — cóż to się pana nigdzie nie spotyka — siedzi pan w domu i pisze. A może nawet już z powiastką, chociaż na lato wolelibyśmy coś lżejszego, w upały długich rzeczy publiczność nie żyła.

— Właśnie przyszedłem w sprawie drugiego wydania — wybałał poeta.

— Drugie wydanie, no tak! — spoważniał nagle wydawca — drugie tępo idą, no, ale proszę — i powiódł go do małego w tyle księgarni zasieku, gdzie się odbywały operacje finansowe.

— Więc jakeśmy to mówili..

— Za 2500 egzemplarzy — 600 rubli.

— Tak za dwa do trzech tysięcy — i wydawca zaczął kreślić szybko na papierze jakieś hieroglify, a więc — rzekł po namyśle — za 300 — 600.

Świda rozumiał, że traci, ale nie oponował.

— Co do terminu wypłaty, to ma stół 150, po wydaniu drugie tyle a reszta za kwartał.

— Jabym chciał mieć całą sumę — zdobył się na energię Świdę — muszę wyjechać, jestem niezdrów.

Wydawca się skrzywił i począł się skrobać w głowę.

— Widzi pan — zaczął — to zmienia postać rzeczy. Rynek cierpi na brak gotówki, dyskonto drogie — jeżeli jednak pan istotnie potrzebuje, dla pana tylko ale po odpowiedniej redukcji. — Tu szybko nakreślił szereg cyferek — 50 — wygłosił — teraz ozdoba okładka, co niewątpliwie wpłynie na poczytność, 50 — razem 100. Więc 500 rubli — nóżki na stół.

— Jak pan uważa — wymówił Świda, zupełnie już znużony całą operacją.

— No a teraz dla pamięci pan zechce podpisać. Bardzo rad jestem, iż pan sam doszedł do wniosku, że pani stawiała zbyt wygórowane warunki, bo, proszę pana, interes księgarski nie jest wcale taki miód, jak to się panom literatom wydaje... Pięćset za drugie wydanie, a onegdaj za 300 na bardzo dogodnych warunkach spłaty nabyłem taki, jak ta szulada, rękopis pani Dolskiej. Zapewne,

nie jest to mocna firma, a ja za firmę właśnie panu placę. Masz pan na przykład mydło Pulsa — są inne nie gorsze — ale każdy do Pulsa, bo Puls ma firmę.

— Dlaczego pan właściwie o tem mydle — zauważył Świda.

— Tak mi przyszło, niech pan nie myśli, żebym się — ależ, broń Boże, — i owszem, ja bardzo tego... ależ przeciwnie, ja bardzo cenię, sam przecież za młodu bywało kropilem wierszyki do przyjaciół, przyjaciółek, okolicznościowe — powiadam panu, że aż ha... i kto wie, co by było, gdyby nie interesa, kłopoty.

Tu wydobyl pięć storubówek nowiuśienkich, prosto z pod stempla, a widząc, jak Świda pakuje je niezgrabnie — ja panu do kopertki, — złożył zrzęcznie pieniądze. — I dokąd że to, jeśli wolno, i kiedy?

— Jaknajprędzej — odparł Świda i wkrótce z uczuciem ulgi znalazł się na ulicy.

Czynność pakowania zmęczyła go do reszty. Kuferok, w którym Lilij umiała pomieścić moc rzeczy — ciągle okazywał się za ciasny. Wreszcie się uporał, zapłacił za mieszkanie za miesiąc zgóry i pod wieczór znalazł się na dworcu.

I znówu jak przed miesiącem patrzył na tę samą przestrzeń migocącą światłami — ale już bez niepokoju oczekiwania — lecz z uczuciem cichej rezygnacji człowieka, który się niczego złego ani dobrego nie spodziewa, któremu już wszystko jedno.

Nareszcie pociąg nadszedł. Świda wsunął konduktorowi w łapę, za co został wsunięty w przedział z jedną ławką. Gdy pociąg ruszył, położył się nogami do odsłoniętego okna i wpatrywał się apatycznie w snopy iskier, które się wkrótce zwały w jedną gorejącą linię, wsłuchiwał się w miarowe dudnienie kół, i z myślą, poco właściwie i dokąd jedzie, lekko zasypiał, budząc się na stacyach.

W Wiedniu miał zamiar dłużej się zatrzymać, ale w ostatniej chwili kazał doręczarkowi jechać na dworzec południowy; postanowił jechać dalej i dalej. Jakoż nazajutrz znalazł się w Tryeście, skąd nocnym statkiem ruszył do Wenecji.

Zaledwie dotknął nogą marmurów piazzetty, parasol jego i walizka znalazły się w rękach dwóch wyrostków, którzy na polecenie: hotel Panada — potakując — się — si, wprowadzili go do hotelu Cavalotti, i nim zdołał się opatrzyć, zostają ulokowany w dość drogim numerze. Przewodnicy, zażądawszy po lirze na głowę, powtórzywszy unisono: molto grazia, ulotnili się, jak kamfora. Wyzuty naogół z energii Świdę, cały swój protest zawarł w westchnieniu, położył się tak, jak stał, na łóżko, i lekko drżąc, wsłuchiwał się w krzyki i bełkot ruchliwych uliczek.

Znał dawno Wenecję, lubił ją i chętnie nurzał się w tym tłumie, któ-

ry wypływał z ubranej wystawami sklepów „merceryi”, z pod wspaniałej arkady prokuracyi i rozlewał się na świetnym placu Św. Marka, Godzinam; siadywał nieraz przy stoliku kawiarni i przyglądał się ciekawie pięknej karawanie wielojęzycznej publiczności, rozmaitym typom człowieczego rodzaju, które go interesowały więcej, niż wystawa psów, koni lub rasowego bydła. Obecnie jednak czuł, że stracił dawne zainteresowanie. Gdy wyszedł na ulicę, tłum ten wydał mu się jakby spłowiały, pozbawiony swoistej barwy, nużący, jednostajny i nudny.

To też chętnie opuszczał ten wir,

wsiadał w gondole i kazał się wieść na laguny martwe w stronę Murano. Gdy mijał wielki kanał, doświadczał pewnego żalu na widok wielu starych pałaców, przerobionych na hotele, i zdawało mu się, że gmachy te wolałyby runąć w wodę, niż doczekać chwili, gdy wzbogaceni „zahłkelnerzy” będą je zapełniać swoim szwargotem i w komnatach, gdzie radziłyby dostojni dożowie i dzwoniły słodkie mandoliny, będą klepać swe opasłe, pozbawione wszelkiego wdzięku, głupie małżonki.

To też doświadczał cichej ulgi, gdy znikają z oczu te sprofanowane mury, i wydostawał się na cichą, nie-

ma roztocz umarłej wody. Gdzieś w dali zatrzymywał gondolę i w smutnem zadumaniu patrzył, jak w zjawisku, w majaczące kontury miasta, złotą luną zachodu odziane szczyty, w migotliwą linię zapalających się świateł.

Ten miraż miasta i cicha woda niosły mu ukojenie, zanikał ból, duszę oblewał smutek, z początku ciężki, jak całuny sukna, które z biegiem czasu stawały się lekkie, jak muśliny, wreszcie tak delikatne, jak welony, przez które poczynął jaśniej patrzeć na świat.

Dalszy ciąg nastąpi.

WIKTOR GOMULICKI.

Złoty Legion.

*Pragnąbym stać się na dziś — werbownikiem;
„Hej! na bój!” — wotać, — „Do mnie, towarzysze!”
Jednych pieśniami wzywać, innych krzykiem,
Warkotem bębnow budzić martwą ciszę —
Potem na wroga zwartym runąć szykiem.*

*Niechby zew trafił do ślepców, do głuchów,
Budząc w nich czucia i myślenia zdolność,
Czyż światu zbrojnych tylko trzeba zuchów?
Na bój o Prawdę, na walkę o Wolność
Ja posłać chciałbym: Złoty legion duchów.*

*Błądźcie, wierząc tylko w moc oręża...
Cóż oręż? ducha posłuszne narzędzie.
Mieczowi siłę daje wola męża;
Gdy woli zbrakło, zwycięstwa nie będzie —
A i bez miecza duch, gdy chce, zwycięża.*

*Co mu po szabli! Mocniejsze ma bronie!
Ma słowo — zbawcze i zabójcze razem,
Co jednym kładzie wawrzyny na skronie,
A innych hałby piętnuje żelazem
Albo ich graży w niepamięci tonie.*

*Z rzeźbiarłów myśli, z czarodziejów słowa,
Którzy są dziejom ostateczni sędzię,
Będzie mej legij Gwardya honorowa,
Na pierwsze miejsca posyłana wszędzie
Jej czule serce, jej władząca głowa.*

*Moja usarya, skrzydlacze natchnieni,
Moi pancerni w kirysach z rozumu,
Będą, jak burza, z wichru i płomieni...
Boju nie wstrzymam, aż wśród ślepców tłumy
Drgnie duch, i wrogów — w braci mych przemieni!*

Bez bab.

— Czytales?
— Co?
— Apropoz święconego...
— A jakże! Święte słowa!
— Niech się święcą!
— Niech się święcą!!
— Żadnej zastawy, mięsiv, szynek...
— No, jedna nieduża...
— Tak: jedna szyneczka... Ale żadnych przyjeć...
— Ciast...
— No, jeden mazurek...
— Tak, jeden mazurek czekoladowy... Ale żadnych trunków...
— Jedna buteleczka...
— No, tak: jedna buteleczka węgryna...
— I to już wszystko!
— Zato żadnych bab!
— O, bab — absolutnie!... To najkosztowniejsze!...
— Stanowczo bez bab!!
— Bez bab!!!!
Przyjaciele rzucają się sobie na szyję.

Po chwili zaczynają wzajem roztaćcać przed sobą obrazy radosnych kon-

sekwencyi tego faktu, który bodaj po święceniu tegorocznem został uświęcony na zawsze!

Święta bez bab!... O radości!...

Bo i ile to pieniędzy pozostanie w kieszeni, gdy się na baby nie wyda!

Ile to rzeczy pożytecznych, istotnie niezbędnych, kupić będzie można, gdy się na babach zaoszczędzi!

Przyjaciel Piotr dyskretnie trąca w bok Henrysia i uśmiecha się doń filuternie...

Przyjaciel Henryk nie zaprzecza, że i on wolałby raczej na knajpeczkę, panie... i na tego... niżli — — —

— Niżli na baby!...

Znów buzi z dubeltówki — poczem skromna lampeczka, zakończona wielką misą rozrzewnienia:

— Bez bab, bez bab... co za radość, przyjacielu!...

Późnym wieczorkiem Henryś wraca do domu z lekka podchmielony. Ale żoneczka, lubo czeka na niego, nie spozstrzega tego zgoła. Przeto nie robi mu żadnego wyrzutu.

Przeciwnie, wita go bardzo czule, a oplatając szyję pięknie utoczonemi łapkami, zwierza mu się z radości następującej:

— Właśnie myślałam sobie, mężusiu, że ponieważ nie wyprawiamy tego roku święconego, więc będę mogła pozwolić sobie na sprawienie drugiego kostyumu, trzeciej sukienki, jeszcze jednego kapelusza na czyste i ze dwóch par bucików — prawda? No, bo przecież lepiej na to wydać, niż...

— Niż na babę; masz rację, żoneczko — melancholijnie odpowiada wytrzeźwiony zupełnie Henryś...

W tym samym czasie Piotr pompacyjnie otwiera podwoje swego domostwa, przyspiewując sparafrazowany tekst na znaną melodyę:

„Dobrze, dobrze, panie bracie, prze-wybory taki plan... Bab nie będzie w naszej cha — — —”

Aliści ze wszystkich kątów „chaty” pana Piotra wypełzają na wchodzącego: matka żonina, jej ciotka, siostra jedna, siostra druga, kuzynka, młodszą, kucharka, nakoniec i sama pani Piotrowa... A wszystkie z płomieniem oburzenia w oczach...

Śpiew zamiera na ustach przyjaciela...

B. Gorczyński.



B A K.

17

POWIEŚĆ.

— Co mu jest?

— O! to wielce skomplikowana choroba. Przedewszystkiem —

— Przedewszystkiem, czy jadłes pan śniadanie?

— Jadłem; dziękuję. Wracając do Rivarez'a; wszystko to jest na tle nerwowem, ale główną przyczyną tkwi w dawnej, haniebnie zaniedbanej ranie. Zapewne datuje to od czasów owej wojny w Południowej Ameryce. Musieli go nieumiejętnie opatrzyć; całe szczęście, że się jakoś wyliżał. Ale pozostała mu skłonność do zapalenia, i lada drobnostka sprządza atak.

— Czy to coś niebezpiecznego?

— Nie; tylko cierpienia są szalone; nie wiem poprostu, jak on je może znieść. Musiałem dawać mu opium w nocy, czego nienawidzę, gdy mam do czynienia z nerwowym pacjentem; ale nie było innej rady.

— Więc tak cierpi?

— Niewypowiedzianie; ale to zadziwiająco wytrzymały organizm i siła woli olbrzymia. Tej nocy jednak ku końcowi dostał maligny z bólu. Jak dawno myślicie państwo to trwa? Od pięciu dni; i żywej duszy przy nim, prócz tej głupiej gospodyni, która jest do niczego, a gdy zaśnie, dom by mógł się zawalić, jeszczemy się nie przebudziła.

— A piękna Zita?

— Otóż to właśnie. Nie dopuszcza jej do siebie. Ma do niej poprostu wstręt. Dziwny to człowiek; zlepek samych sprzeczności.

Wyjął zegarek.

— Spiesz się do szpitala, ale trudna rada. Mój asystent będzie musiał zaczynać bezemnie. Szkoda wielka, że o tem wcześniej nie wiedział; nie byłbym dopuścił do takiego stanu.

— Ale czemuż, na Boga, nie dał znać, że jest chory — przerwał Martini. — Przecież powinien był domyśleć się, że nie zostawilibyśmy go bez opieki.

— Istotnie, doktorze — dorzuciła Gemma — trzeba było posłać kogo z nas w nocy, a nie mordować się w ten sposób samemu.

— Droga pani, chciałem posłać po Galliego, ale Rivarez wpadł w taką pasję na samą myśl, że nie śmiałem próbować. A gdy go spytałem, czy wolałby może kogo innego, popatrzył na mnie przez chwilę, jak ośląkany, a potem zakrywszy oczy rękoma, wyszeptał: „Nie mów im, śmieliby się”. Był widocznie pod wpływem jakiegoś złudzenia, że ludzie się z czegoś śmieją. Nie mogłem wyrozumieć, co to było; bo mówił

wciąż po hiszpańsku; ale chorzy wygadują czasem niestworzone rzeczy.

— Któż jest teraz przy nim? — zapytała Gemma.

— Nikt oprócz gospodyni i jej służącej.

— Idę do niego zaraz — rzekł Martini.

— Dziękuję ci. Ja tam zajdę wieczorem. W szufladzie stolika pod oknem znajdziesz papier z wypisanym regulaminem, a opium jest na półce w sąsiednim pokoju. Jeżeli bóle powrócą, odmierz mu jedną dawkę, nie więcej, i nie zostawiaj fiaszeczki gdzie w pobliżu, bo mogłby się skuścić i zażyć za wiele.

Gdy Martini wszedł do zaciemnionej sypialni Bąka, ten zwrócił żywo ku niemu głowę i wyciągając rozpaloną rękę, zaczął, siłą się na zwykłą mu żartobliwą swobodę:

— Ach! Martini! Przyszedłeś piłować mnie o korekty! Nie wymyślaj mi, że nie był na posiedzeniu wczoraj; czułem się trochę niezdrów i — — —

— Mniejsza o posiedzenie. Widziałem się właśnie z Riccardem i przychodzę dowiedzieć się, czy ci się mogą na co przydać.

Twarz Bąka stężała w jednej chwili.

— Ach! doprawdy. Bardzo to u przejmie z twojej strony; ale trudziłeś się napróżno. Jestem tylko trochę nieusposobiony.

— Tak mi powiedział Riccardo. Podobno przesiedział całą noc przy tobie.

Bąk przygryzł wargi.

— Już mi całkiem dobrze; dziękuję ci. Niczego mi nie trzeba.

— Bardzo dobrze; w takim razie posiedzę w sąsiednim pokoju, jeżeli wolisz być sam. Drzwi zostawie uchylone, na wypadek gdybyś chciał mnie zawołać.

— Proszę cię, nie trudź się. Ja, doprawdy, niczego potrzebować nie będę. Napróżno tylko będziesz marnował czas.

— Et, pleciesz — przerwał Martini szorstko. — POCO te udawania? Czy myślisz, że nie mam oczu. Leż spokojnie i staraj się zasnąć.

Poszedł do drugiego pokoju i zostawiwszy drzwi otwarte, usiadł z książką w ręku. Po jakimś czasie usłyszał, że Bąk poruszył się parę razy. Odłożył książkę i nadsłuchiwał. Nastąpiła chwila milczenia; poczem znów dały się słyszeć niespokojne poruszenia i szybki, ciężki oddech, jakby ktoś dyszał, zaciskając zęby, by nie jęknąć. Martini wszedł do sypialni.

— Może ci czego potrzeba, Rivarez?

Nie było odpowiedzi, zbliżył się więc do łóżka. Bąk z twarzą trupiśnią popatrzył na niego w milczeniu i wstrząsnął głową.

— Może ci dać opium? Riccardo mówił, że masz wziąć dawkę, gdy ból ci będzie bardzo dokuczal.

— Nie, dziękuję; jeszcze trochę wytrzymam. Później może być gorzej.

Martini wzruszył ramionami i usiadł przy łóżku. Przez nieskończone długą godzinę czuwał nad nim w milczeniu; wreszcie wstał i przyniósł opium.

— Posłuchaj, Rivarez, tak dłużej być nie może; jeżeli ty jesteś w stanie to znieść, to ja nie. Musisz zażyć opium.

Bąk przyjął opium w milczeniu; poczem odwrócił się i zamknął oczy. Martini usiadł i słuchał, jak oddech stawał się coraz głębszy i równiejszy.

Bąk był tak wyczerpany, że raz zasnawszy, nie mógł się łatwo obudzić. Godziny mijaly, a on leżał bez ruchu. Kilkakrotnie w ciągu dnia i wieczorem Martini zbliżał się do niego i patrzył na tę uśpioną postać, w której oddech jedynie świadczył o życiu. Twarz była tak wymizerowana i bezbarwna, że Martini'ego chwycił nagły lęk, czy nie przeholował dawki? Ujął spoczywającą na kółdrze lewą rękę i wstrząsnął nią zlekka, by zbudzić śpiącego. W tem poruszeniu odpięty rękaw koszuli zesunął się, ukazując całą sieć straszliwych, głębokich blizn, pokrywających rękę od dłoni do łokcia.

— W ładnym stanie musiała być ta ręka, gdy rany były świeże — ozwał się za nim głos Riccarda.

— Ach! Jesteś nareszcie! Spójrzno, Riccardo, czy on będzie spał wiecznie? Zażył opium przed dziesięcioma godzinami i od tej chwili ani drgnął.

Riccardo pochylił się i jął nadsłuchiwać.

— Nie; oddycha prawidłowo; to poprostu z wyczerpania. I nie dziw. Po takiej nocy! Nad ranem parokszym może się powtórzyć. Ktoś musi nad nim czuwać.

— Gallij przyjdzie. Dał znać, że będzie koło dziesiątej.

— No, to powinien być lada chwila. A! budzi się. Powiedz dziewczyni, żeby przygrzała rosół. Zwolna, zwolna, Rivarez! Nie ciskaj się tak; nie jestem biskupem!

Bąk popatrzył na niego z przestrachem.

— Czy to kolej na mnie? — zapytał spieszenie po hiszpańsku. — Zabawcie tam publiczność przez chwilę. Ja — — Ach! to ty, Riccardo!

Rozejrzał się po sypialni i ręką po czole przeciągnął.

— Martini! Myślałem, żeś już poszedł? Musiałem spać.

— Spałeś, jak zaczarowana

księżniczka, pełne dziesięć godzin; a teraz zjesz rosół i znów będziesz spał.

— Dziesięć godzin! Martini! I ty tu ciągle byłeś?

— Tak; zacząłem się już lękać, czy ci nie dałem za dużo opium.

Bąk spojrział na niego z ukosa.

— O! byłoby za wiele szczęścia! Mielibyście takie miłe, spokojne posiadzenia! Czego ty u licha chcesz odemnie, Riccardo? Na miłość boską, zostaw mnie w spokoju. Niecierpię, żeby mnie doktorzy brali w swoje obroty.

— Dobrze, dobrze; wypij to, a zostawię cię w spokoju. Wrócę za parę dni i zaczniemy się porządnie odżywiać. No, myślę, że już najgorsze minęło. Trochę lepiej wyglądasz.

— O! to wkrótce minie. Dziękuję. Kto to — Galli? Cóż; czy wszystkie gracye naznaczyły dziś sobie u mnie schadzkę?

— Przyszedłem, by zostać na noc u ciebie.

— A to poco? Nikogo mi nie trzeba. Idźcie sobie wszyscy do domu. Gdyby mi się nawet pogorszyło, to i tak mi nie poradzicie; bo już więcej opium nie wezmę. To bardzo dobre na raz.

— Masz słusność — rzekł Riccardo. — Ale to nielatwo dotrzymać takiego postanowienia!

Bąk spojrział na niego z uśmiechem.

— Nie obawiaj się! Gdybym miał do tego skłonność, to bym to już był dawno uczynił.

— W każdym razie sam na noc nie zostaniesz — odpowiedział Riccardo sucho.—Pójdź ze mną na chwilę do drugiego pokoju. Galli. Chcę z tobą pomówić. Dobranoc, Rivarez. Zairze jutro.

Martini chciał wyjść także, gdy usłyszał zcicha wymówione nazwisko swoje. Odwrócił się. Bąk wyciągał do niego rękę.

— Dziękuję!

— Och! Niema za co! Śpij!

Po odejściu Riccarda, Martini pozostał jeszcze kilka minut, rozmawiając z Gallem w drugim pokoju. Gdy otwierał frontowe drzwi domu, usłyszał turkot powozu zatrzymującego się przed ogrodową furtką i zobaczył postać kobiecą, która, wysiadłszy szła uliczką. Była to Zita, wracająca widocznie z jakiejś wieczornej zabawy. Martini uchylił kapelusza i usunął się, by dać jej przejść, poczem skierował się ku furtce i wszedł w ciemną aleję, wiodącą na Paggio Imperiale. Wnet potem furtka skrzypnęła, dały się słyszeć szybkie kroki i kobiecie głos zawołał zcicha:

— Poczekaj pan chwilę.

Odwrócił się i ujrzał Zitę, idącą ku niemu ze spuszczoną głową.

— Jak on się miewa? — zapytała, nie podnosząc oczu.

— Znacznie lepiej, niż rano. Spał cały prawie dzień i to go pokrzepiło. Myślę, że atak przemija.

Zita wciąż patrzyła w ziemię.

— Bardzo był silny tym razem?

— Doktor mówi, że bardzo.

— Domyślałam się tego. Jak tylko nie pozwala mi wejść do pokoju, to już jest z nim źle.

— Czy takie ataki powtarzają się często?

— To zależy. Tego lata w Szwajcaryi czuł się zupełnie dobrze; ale poprzedniej zimy, gdyśmy byli w Wiedniu, to*było straszne. Całemi dniami nie dopuszczał mnie do siebie. Nie znosił mojej obecności, kiedy jest chory.

Podniosła na chwilę oczy i, spuściwszy je znowu, ciągnęła dalej:

— Zawsze wyprawiał mnie na jaki bal, albo koncert pod tym lub innym pretekstem, gdy czuł, że atak nadchodzi, a potem zamykał się na klucz w pokoju. Ja wracałam i siedywałam pod drzwiami, cichuteńko, bo byłby się złościł, gdyby był wiedział, że tam siedzę. A tak; wpuściłby skamlącego psa, ale nie mnie. To też myślę, że więcej dba o swego psa, niż o mnie — dodała posępnie.

— Miejmy nadzieję, że idzie już ku lepszemu — rzekł Martini pocieszająco. — Doktor Riccardo gorliwie się nim zajął. Może uda mu się sprowadzić stałe polepszenie. Ale, gdyby się coś podobnego w przyszłości zdarzyło, daj nam pani znać natychmiast. Byłby znacznie mniej cierpiał, gdybyśmy to wcześniej wiedzieli. Dobranoc!

Wyciągnął rękę, ale ona cofnęła się szybko.

— Nie rozumiem, czemu pan odajesz rękę jego kochance.

— Jeżeli pani sobie nie życzy — zaczął zmieszany.

Tupnęła nogą.

— Nienawidzę pana! — zawołała, mierząc go palającymi, jak rozżarzone węgle, oczyma. — Nienawidzę was wszystkich! Pan tu przychodzisz tylko po to, żeby z nim rozmawiać o polityce, a on pozwala panu czuć nad sobą w nocy i dawać mu lekarstwa, kiedy ja nawet spojrzeć na niego przez dziurkę od klucza nie śmiem. Czem on jest dla pana? Jakim prawem przychodzisz i odbierasz mi go? Nienawidzę cię! Nienawidzę! Nienawidzę!

Wybuchnęła gwałtownym płaczem i odbiegła, zatrzaskując furtkę za sobą.

— Wielkie nieba! — pomyślał Martini. — Ta dziewczyna kocha go naprawdę! Ktoby przypuścił —!

ROZDZIAŁ VIII.

Bąk szybko wracał do zdrowia. W tydzień potem Riccardo zastał go spoczywającego na sofie w tureckim szlafroku i gawędzącego z Martini'm i Galli'm. Wybierał się nawet zejść na dół, ale Riccardo roześmiał się tylko i zapytał, czy za jednym zamachem nie przepacerowały się do Fiesole?

— Mógłbyś odwiedzić Grassini'ch dla rozmaitości — dodał złościwie.—Signora Grassini byłaby uszczęśliwiona zobaczyć cię, zwłaszcza teraz, gdy wyglądasz tak blade i interesująco.

Bąk załamał ręce tragicznym ruchem.

— Na moja duszę! Nie pomyślałem o tem. Wzięłaby mnie za męczennika Italii i deklamowała o patriotyzmie. A ja musiałbym grać moją rolę i opowiadać jej, jak mnie w podziemnem więzieniu pocięto na sztuki, a potem sklejono ladajako, ona zaś chciałaby dowiedzieć się szczegółowo, jak się to odbyło. Jak myślisz, Riccardo, uwierzyłaby mi? Złożyłbym się o mój indyjski sztylet, że ta kobieta póknie największe kłamstwo, jak indyk gałkę!

— Może być; ale ja tymczasem muszę uciekać, Martini, ty zostajesz przy naszym rekonwalescencie?

— Tylko do trzeciej. Galli i ja mamy być na San Minato, a Signora Bolla przyjdzie tu i zostanie, dopóki nie wróce.

— Signora Bolla! — powtórzył Bąk z przerażeniem. — Na Boga, Martini, to być nie może. Jeszcze tego było potrzeba, żeby się tu panie zbiegały i kwiliły nad memi dolegliwościami! Zresztą, gdzie ja przyjmę? Przecież nie tutaj!

— Odkąd że to stałeś się tak drażliwym na punkcie przyzwoitości? — zapytał Riccardo, śmiejąc się. — Mój kochany, Signora Bolla jest naszą główną dozorczynią. Pielęgnowała chorych od najwcześniejszej młodości i umie się obchodzić z nią lepiej, niż siostra miłośierdzia. Gdzie ją przyjmiesz? Mógłbyś się o to kłopotać, gdyby chodziło o Signorę Grassini. No, skoro ona przychodzi, to już żadnych wskazówek zostawiać nie potrzebuję. Na miłość boską, co ja robię! Już w pół do trzeciej! Uciekam!

— No, Rivarez, zażyj teraz lekarstwo — rzekł Galli, podchodząc ze szklanką.

— Idź do dyabła z lekarstwem — odparł Bąk, który już znajdował się w tem stadium rekonwalescencyi, kiedy pacjent zaczyna dokuczać pielęgniującym go osobom. — P...p...poco u licha opychacie mnie t...t...temi szkaradziństwami, kiedy już ból przeszedł?

— Właśnie dlatego, żeby nie wrócił. Nie chciałbyś chyba, żeby cię atak schwytał podczas bytności Signory Bolli, i żeby musiała dawać ci opium?

— Mój k...k...kochany, jeżeli atak ma wrócić, to wróci; to nieból z...z...zęba, który się daje waszemi miksturami wystraszyć. A...ale niech już tak będzie.

Wziął szklankę lewą ręką i widok straszliwych blizn przypomniał Galli'emu ich poprzednią rozmowę.

— A to? — zapytał — gdzie te okropne rany oberwał? Zapewne na wojnie?

— Przecież mówiłem przed chwilą, że mnie ćwiartowano w podziemnym więzieniu.

— Tak; ale to jest wersja na użytek Signory Grassini. Jestem pewny, że cię tak podczas wojny z Brazylią uczęstowano?

— Tak; byłem ranny; a potem polowania na dzikie zwierzęta i jedno do drugiego...

— Aha; podczas tej naukowej wyprawy? To musiałeś przeżywać wrażenia, co?

— Zapewne; gdy się żyje w dziewiczych puszczech, to się raz po raz jakieś przygody trafiają — odpowiedział Bąk swobodnie — no, i nie wszystkie są przyjemne.

— Jednakże nie pojmuję, jakim sposobem tak straszliwie okaleczenia odniosłeś... Boć te blizny na lewym ręku —

— O! to było podczas polowania na pumę. Uważasz, strzeliłem —

Zapukano do drzwi.

— Czy pokój w porządku, Martini? Tak? To otwórz, proszę. Jakże pani jesteście dobrą!... Proszę mi darować, że nie wstaję.

— Oczywiście, że pan nie powinien wstawać. Nie przyszedłem tu jako gość. Jestem trochę wcześniej, Cezarze. Myślałam, że ci może spieszą.

— Mogę zostać jeszcze z jakiś kwadrans. Pozwól, że cię uwolnię od płaszcza. A może zabrać i ten koszyk?

— Ostrożnie; są w nim jajka. Katie przyniosła je dziś rano z Monte Oliveto. A to są mchowe róże dla pana, Signor Rivarez. Wiem, że pan lubisz kwiaty.

Usiadła przy stole i zaczęła układać róże w wazonie.

— No, Rivarez — rzekł Galli — opowiedz nam o tem polowaniu na pumę. Tylko co zacząłeś!

— Ach, tak! Galli wypytywał mnie o życie w Południowej Ameryce, Signora; i właśnie opowiadałem mu, jakim sposobem tak sobie lewą rękę urządziłem. To było w Peru. Przechodziliśmy wbród rzekę, polując na pumę, a gdy ją wziął na cel, nie mogłem wystrzelić, bo proch zamókł. Oczywiście, puma nie czekała, bym się poprawił; i oto rezultat.

— To musiało być straszne.

— O! nie tak bardzo! Cóż! każda rzecz ma swoją odwrotną stronę medalu. Ale naogół to wspaniałe życie. Naprzykład, polowanie na węże.

I paplał dalej, opowiadając anegdotę za anegdotą, to z wojny Argentynskiej, to z brazylijskiej wyprawy, to z przygód z dzikimi zwierzętami i ludźmi. Galli, uszczęśliwiony, jak dziecko, słuchające czarodziejskiej bajki, przerywał mu co chwila pyta-

niami. Był to wrażliwy neapolitańczyk, rozmiłowany w nadzwyczajnościach. Gemma wyjęła z koszyczka jakąś robotę i słuchała, nie podnosząc oczu. Martini kręcił się na krześle zasepony. Sposób opowiadania Bąka wydawał mu się pyszałkowatym i zarozumiałym, i pomimo całego uwielbienia, jakie wzbudzała w nim szalona siła woli tego człowieka, który umiał znosić fizyczne męczarnie z takim męstwem, jakiego on, sam, Martini, był świadkiem, przed tygodniem, instynktowna niechęć brała w nim górę.

— Tak; to musiało być wspaniałe życie! — westchnął Galli z naiwną zazdrością. — Ciekawym, co cię skłoniło do opuszczenia Brazylii? Wszystkie inne kraje musiały ci się wydać po niej takie bezbarwne i płaskie.

— No; bardziej mi się podobało w Peru i Ekwatorze — rzekł Bąk. — To istotnie przepyszny kraj. Oczywiście, bardzo tam gorąco, zwłaszcza w nadbrzeżnej części Ekwatora; to się daje we znaki; ale wspaniałość sceneryi przechodzi wyobrażenie.

— Co do mnie — rzekł Galli — bardziej, niż scenerya, pociągałaby mnie ta bezgraniczna swoboda życia w niecywilizowanym kraju. Tam dopiero człowiek może odczuwać w pełni swoją osobistą godność, nie tak, jak w naszych przeludnionych miastach.

— Tak — odpowiedział Bąk — to jest —

Dalszy ciąg nastąpi.



W cichą, świętą noc...

— Mamusiu, Jurek lalce oczy wydlapał — z płaczem krzyknęła mała Hania, wbiegając do pokoju pani Zofii.

— Ale bo proszę mamusi — ona sama temu winna — tłumaczył się poważnie pięcioletni chłopczyk w kasku ufańskim na głowie.

— Mówi do mnie: Jurek, czy te oczy żywe? Rusajom się, możeby tak poświdrować? Sama, proszę mamusi, zaczęła, a teraz, Jurek, zawsze Jurek winny!

— Niegrzeczni jesteście oboje — powiedziała surowo mamusia, usiłując zmarszczyć brwi cudownie zarysowane nad dwojgiem szafirowych oczu. Nie wiem nawet, co powiedzieć św. Mikołajowi, jeżeli w dzisiejszej wędrowce wstąpi do naszego dworu. Wątpię, czy wam podaruje złoczone orzechy i jabłuszka, które rok rocznie znajdowaliście pod poduszką.

— Przecież lalka nieżywa, to ją nie bolało — zauważył filozoficznie Jurek.

— Ale psuć zabawek nie wolno. Hania innej lalki nie dostanie, a Jureczek postoi, jak niegrzeczny żołnierz na odwachu, w kacie — rzekła mamusia, prowadząc winowajców do dzieciennego pokoju.

Już bardzo późnym wieczorem wrócił pan Stanisław ze Żmigrodu. Żona przywitała go radośnie. Przy kolacyi rozmowa naturalnie skierowała się na dzieci, które leżały cicho w swych łóżeczkach. Pani Zofia opowiedziała historię o lalce.

— Psotniki — zaśmiał się Stanisław swobodnie. — Teskno mi za niemi, pójde ucałować na dobranoc.

Jurek energicznie objął ojca za szyję.

— A ja to niebardzo winny, tatu-siu — szepnął do ucha — proszę o tem powiedzieć św. Mikołajowi.

— Tatusiu — zaseponiła rozespiana Hania — niech św. Mikołaj różgą Ju-

recka zbije. A jakby przyszedł dyabeł, to niech go weźmie do torby!

— Ciebie prędzej zabierze! Czekaj, niania mówiła, że dyabeł niegrzeczne dziewczynki bije czarnym ogonem.

Hania rozptakała się na dobre. Zaledwie ją rodzice mogli uspokoić. Wreszcie cisza zapanowała w sypialni.

— Stachu, zapomniałeś kupić złoczonych papierków do oklejenia orzechów — cóż ja teraz zrobię? Dzieci naprawdę wierzą, że rozgniewały św. Mikołaja.

— Do licha, zapomniałem. Trudno, prędzej czy później, muszą się rozczarować do bajki o staruszku.

— Tak... zapewne... tylko... widzisz Stachu, tak dużo mamy rozczarowań w życiu i chciałabym dzieci nasze najpóźniej na nie narazić. Przytem... nie śmieję się, drogi... złe przeczucia mnie dręczą... coś mi się tak wydaje, że na przyszły rok nie będziemy razem.

— Dzieciństwo! Urojenie! Cóż to mojej pani się stało? Z powodu braku pozłoty czarna melancholia? Na święta kupimy dzieciakom podwójną ilość słodyczy. Nie martw się, kochanie, spać chodźmy, już późno.

Pierwszy obudził się Jurek. Sięgnął pod poduszkę... pusto.

Westchnął, przeżegnał się i szybko wyskoczył z łóżeczka. Na palcach podszedł do Hani. Spała, różowa i uśmiechnięta. Złote włosy w kędziorach okalały buzię puciołowatą i hożą.

Jurek uchylił poduszkę... nic niema...

— Haniu — pociągnął maleńką — wstawaj — wiesz, nic nie mamy — obrziliśmy świętego — chodź, pójdziemy do salonu przed obraz Matki Boskiej — trzeba pomodlić się. Ona nam pomoże.

Hania chciała zapłakać, ale Jurek przemocą ściągnął z niej kołderkę. Poszli zatem oboje w długich koszulkach i bosso przed obraz Madonny Sykstyńskiej.

— Powtarzaj za mną Zdrowaś Ma-

rya — komenderował Jurek, okrywając nóżki dziewczynki poduszką z kanapy. — Złóż ręce — tak, dobrze. Teraz mówmy Antyfonę — dodał zamyślony.

— A cio to jest Antyfona — zapytała Hania, drżąc silnie, chociaż w salonie było bardzo ciepło.

— Nie wiem... ale to jest coś takiego, o co się prosi, albo każe zrobić. Niania czasem mówi do lokaja: poczekaj, już ja ci sprawię Antyfonę. Trzeba w każdym razie poprosić Matki Boskiej, Ona *napewno* każe przynieść świętemu orzechów.

W drzwiach salonu stanęła pani Zofia. Na widok dzieci modlących się żarliwie wybuchnęła płaczem. Nadbiegł mąż przerażony.

— Nie rozumiem twego przeczulecia, Zosiu — mówił — tuląc do siebie całą trójkę.

— Abo mówiliśmy Antyfonę — rzekł niepewnie Jurek.

— Święty się ozgniewał — objaśniła Hania, patrząc pilnie na rodziców, którzy z kolei spojrzeli sobie w oczy.

— Słuchajcie — rzekł ojciec, całując główki jasnowłose — idźcie do niani, niech was ubierze i bądźcie bardzo grzeczni. Wczoraj padał śnieg, święty nie mógł trafić, ale dziś wieczorem przyjdzie z pewnością.

— Już my tatusiu będziemy grzeczni i nie nie zbroimy. Laleczkę posadzę z piesem i dam jej leguminy, a Jurek przewiezie ją na kuniu.

— Mówi się koń — nie kuń — u-pomniał Jurek siostreczkę. I dzieci pobiegły do niani.

Wieczorem udobruchany święty przyniósł całą torbę dobrych rzeczy.

Uplłynął rok. W ogromnej kuchni olszańskiego dworu zasiedli dziwni goście. Ni to rozbójnicy tatrzańscy, ni kudłate niedźwiedzie. Mają wysokie czapy, długie, brzęczące szable, mówią śpiewnym akcentem, zawodzą pieśń żalosa i pieką przy ognisku całego barana.

Pieczą się baran tłusty i świeży; padają iskry z dymiących głowni, woń smakowita rozchodzi się po izbie. Żołnierze z dalekiego Uralu przybyli chórem zgodnym śpiewają:

* Hej, hej, hej raz maty rodyla,
Hej, hej, hej zowieć nas mogiła,
Wiesna idiot, wietier dujet
A moja miła toskujet. Heeej!

— Mamusiu, słyszysz, jak żołnierze śpiewają — pytał pani Zofii Jurek — tuląc się do jej kolan.

— Słyszę, synku, słyszę, dziś mają wielkie święto. Imieniny ich cesarza — Mikołaja.

— A święci w niebie mają imieniny — zagadnęła Hania.

— Tak, kochanie. Bardzo uroczyste.

— A w tym roku św. Mikołaj nie przyszedł. Czy może na wojnę poszedł? — pytały smutnie dzieci.

* Hej, hej, hej raz matuś rodziła,
Hej, hej, hej wzywa nas mogiła
Wiosna idzie — wichur wieje,
Traci już miła nadzieje. Heeej!

— Tak dziecino. Ma dużo zajęcia. Zbiera staruszek dusze zabitych żołnierzy, prowadzi je do nieba, odpocznie i znowu wraca na pole, aby o nikim nie zapomnieć.

— A czy później te dusze nie mogom na ziemi wrócić — pyta Hania, otwierając oczy szeroko?

— Nie, Haniu. One wypoczywają. Trzeba modlić się za wszystkich.

— A jak zabijom tatusia? Tes nie wróci?

Pani Zofia zadrżała.

— Proś Matki Boskiej, dziecino, aby go uchroniła.

— Mamusiu, my pójdziemy z nianią zobaczyć, jak żołnierze krajają barana. Wiesz, największego upiekl.

— Malcysia mówiła, że jeden medbedzia udaje i w kozuchu tańczy — pozwól mamusiu na chwileczkę do kuchni.

— Marcysiu, zaprowadź dzieci, pilnuj, aby się nie kręciły, i wracaj z niemi niedługo.

Smukła, rumiana dziewczyna wzięła Hanię na ręce. Przed niemi w pełnym rynsztunku bojowym, z pałaszem i w czako ulańskim maszerował Jurek.

W kuchni ucza dobiegała końca. Kilku kaukaskich górali tańczyło wściekłą lezginkę przy akompaniamencie drących uszy piszczałek. W kącie, na worku kartofli siedział ogromny żołnierz, rozciągając szeroko starą, z klapiącymi klawiszami harmonię.

Melodyja nie była piękna, ani instrument dźwięczny, ale żołnierz śpiewał śliczną piosenkę o sadach kwitnących wiśni i o młodym żołnierzu, którego fale Dniepru do chaty rodzinnej przyniosły. Dzieci słowa zrozumiały. Śpiewał, jak chłopcy w ich wiosce — po małorusku.

— Bardzo podobała się piosenka, dziękujemy — rzekł Jurek, salutując.

— Nu, panyczku myleńki, szo ja tebe skażu. Chociesz skazku o widmie, libo o rycariach?

— Nie, nie — bronila Marcysia — późno, dzieci spać pójda. Pani rozniewa się na mnie. Już zadługo siedzimy.

— Aj, Marcysia. Nieładnie. Taż nocka jeszcze długa. Jeszcze ditki uśpiją. Taż jeszcze kur nie zapiał.

— Ja tam słuchać nie będę. Ot, jeśliś taki mądry, to sprowadź dzieciom św. Mikołaja. Przez was nie niema w tym roku. Pana wzięli do wojska, pani oczy wyplakuje, do miasta jechać nie można, trzymacie nas, jak w więzieniu.

— Aj, durna ty, breszesz, jak sobaka. Taż my tu po dobrej woli? Nu, ditki, lachy prawda, nu, gwiazdy ane, angielczyki Boże, toż ja rad posłużyć im najlepiej. I tobie Marcysia i tobie.

— Idź precz, niedźwiedziu! Potrzeba mi twoich zalecanek? Pomyśl o dzieciach, buciki im z nóg spadają. Patrzcie! Miodu mu się zachciewa! Idź w Karpatach barci poszukać.

Marcysia, wpół ze śmiechem, wpół z gniewem senną Hanię w ramiona porwała, Jurka ociągającego się trochę popchnęła, i nim żołnierz-śpiewak mógł się opamiętać — już cała trójka znikła mu z przed oczu.

Mała, czerwona lampka płonie przed obrazem Madonny, w pokoju sypialnym dzieci. Marcysia, okryta chustką, drzemie na wążkiem łóżku. Dzieci śpią cicho, tylko Jurek od czasu do czasu westchnie przez sen głęboko... kto wie, co widzi dusza dziecka w uśpieniu?

Drzwi otwierają się zlekka. Olbrzymi, barczysty żołnierz stara się stapać jaknajciszej. Idzie ostrożnie na palcach, kołysząc ciężką figurę z boku na bok, aż do łóżek dziecińczych. Schyla się, bierze malutki trzewiczek i but małego ulana... chowa do kieszeni. Patrzy na święty obraz, żegna się trzykrotnie... idzie tyłem do drzwi... już zniknął.

Przed gankiem olszańskiego dworu warczy samochód. Dwóch oficerów odjeżdża za chwilę do Cz. w sprawie sztabowej. Do pokoju komendanta wsuwa się salutując wielki żołnierz.

— Czego? — pyta pułkownik.

— Śmien prosić o zabranie do Cz. Mam „ważne dzieło“.

— Po służbie?

— Nie... — żołnierz zaciął się chwilę — po trzewiki.

— Jak znowu? Butów nie masz?

— Nie — wasze błagorodie — dla dzieci.

— Skąd je wzięłaś? Jak śmiałaś?

— To maszej „baryni“, boso chodzą. Trzeba kupić.

— Ot jak! Miłosierny! Nu, możesz jechać.

Pani Zofia leży chora. Nie boli serce, ni głowa. Dusza cierpi, ptak uwięziony, tęsknotą i niewolą dręczony.

Ręce wychudłe na kołdrze złożyła. Już niema siły płakać, ni myśleć co się z „nim“ dzieje. Wola Boża! Ale dzieci?

Oto wbiegają do pokoju, radosne i roześmiane. Hania w nowych trzewiczkach, Jurek w butach ze sztylpami. Za niemi idzie Marcysia w różowej, jedwabnej chusteczce na głowie.

W rękę trzyma jakąś paczkę.

— Proszę jaśnie pani, to jest woda kolońska i czekolada — mówi nieśmiało, całując panią Zofię w rękę.

— Skąd to wzięłaś, moje dziecko — pyta chora, nie mogąc zrozumieć dzieci, pokazujących dostatnio obute nogi.

— To... od św. Mikołaja — bełkocze Marcysia, spuszcżając oczy.

— Nieprawda, mamusiu, to dziś rano Osip przywiózł z miasta; sam widziałem, jak Marcysia kłóciła się z nim na ganku — rzekł uroczyście Jurek.

— Ach... — szepnęła pani Zofia, padając na poduszkę.

— Niech jaśnie pani nie gniewa się na mnie — krzyknęła Marcysia, kłękając przy łóżku. — Serce mi pękało, że Hania boso chodzi. Wielkie rzeczy, że kupił — mało to naszego dobra zniszczyli? Osip, proszę jaśnie pani, bardzo dobry człowiek, nie taki, jak kacapy.

— Mamusiu — śliczne bajki opowiada — zapewniał Jurek, bacnie przyglądając się swym butom. — Pozwól mu wejść do pokoju. Trzeba przecież podziękować. Jak tatuś wróci — to go przyjmijemy za stangreta.

— A jak *śpiwa*, mamusiu — za-
szczębiota Hania.

— Zawołaj go, Marcysiu. Masz ra-
cye, synu, trzeba podziękować.

Osip, tryumfalnie prowadzony przez
dzieci, zbliżył się nieśmiało do łóżka.
Pani Zofia uśmiechnęła się zyczliwie:

— Dziękuję, dobry chłopcze, za ser-
ce dla moich dzieci. Życzę ci, abyś wrócił
szczęśliwie do swojej rodziny.

— Ot, pani — nie mam nikogo. Ro-
dzina, to świat szeroki. Ja sam — siro-
tyna.

— Bóg pocieszy. Dobrą żonę znaj-
dziesz.

— Ta cóż — patrzeć na mnie nie
chce — rzekł Osip, spoglądając na Mar-
cysie.

— Ot — zachnęła się dziewczyna —
ten zawsze swoje. Siadaj niedźwiedziu
na podłodze i bajkę jaśnie pani opo-
wiedz.

— Tak można? — spytał Osip.

Chora skinęła głową. Dzieci usiadły
przy matce, Marcysia na dywaniku.
Osip usadowił się pomału.

— Ano — zaczął po namyśle — w
Kupały noc kwitnie kwiat paproci.
Szczęśny, kto go znajdzie. Ni mór na
bydło nie pada, ani ludzie chorują, w
sercach wierną miłość zapala, szczęście
krajnie, w której rośnie, przynosi. Ale pil-
nują złe duchy, uroki złe rzucają, po
drogach błędnych wodza, na śmierć w
bagnach zatopia. Idzie w lasach dużo
paproci — można kwiat taki znaleźć i
rany wszelkie goić, nawet umarłych
wskrzeszać.

— A sprowadzić tych, co są daleko,
można? — spytała chora z tęsknym u-
śmiechem.

— Oj, można, pani, można. Ino
wiarę w sercu czystym chować — wró-
ci ulubiony — choć z tamtego świata.

— Idź do lasu po kwiat paproci —
tatuś powróci i mamusia będzie zdrowa—
odezwał się Jurek.

Osip uśmiechnął się smętnie.

— Śnieg paniezu — zima — też pa-
proć kwitnąć nie może.

— Nie chcę takiej bajki. Inną opo-
wiedz.

— Czemu, paniezu? Niedługo słoń-
ce zaświeci, jaskółki wrócą i tata wasz
powróci... w *Kupały noc*... — dokończył
cicho.

— A wy? — zapytała Marysia?

— My?... w Karpatach grób. Z na-
szej krwi i kości czerwone kwiaty za-
kwitną.

— Osip! Czyś zwaryował?

Żołnierz wyprostował postać ol-
brzymia.

— My wszyscy zwaryowali. Ból,
grzech i wstyd. — Pokłonił się. Wy-
szedł z pokoju.

Czy zakwitła paproć w lasach pod-
karpackich — niewiadomo. Ale ojciec
Hani i Jurka powrócił do domu w noc
Kupały... w czerwcu...

Myrtha.



Miecz i Korona.

Stanisław Baczyński, autor egzo-
tycznej obyczajowo powieści, pod wpły-
wem wojny i przeżyć ideowych chwili
obecnej napisał książkę pełną interesu-
jących aforyzmów o stosunku swoim do
zagadnienia „Duszy polskiej”, która to
przez siłę musi zrealizować dzieło naro-
dowego wyzwolenia. „Miecz i Korona”
są godłem jego spowiedzi. Żołnierz tro-
ską i stwierdzeniem, że „polak rodzi się
żołnierzem podobnie, jak gdzieindziej
książęta krwi i królowie”. „Żołnierzwo
gotuje jego (polaka) ciało na śmierć
możliwą, bez musu z zewnątrz, ponieważ
z duszy płynie i z jej charakteru”. Co
więcej, uważa p. Baczyński, że każdy po-
lak rodzi się też *wodzem*. Zwalcza jed-
nak literackość różnych koncepcji „le-
gendarnych” o żołnierstwie i uważa, że
„żołnierz polski musi reprezentować do-
pracowanie się narodu do idei i racji
stanu żołnierskiego”.

Ciekawe jest przytem, że p. Baczyń-
ski uważa „teorię za broń słabszych u-
mysłowo”. „Silni bowiem żyją prakty-
ką i rozumieją teorię” (Str. 78). „Do-
tychczasowa polityka polska, poza kilku
momentami walki, była złudzeniem i błę-
dną interpretacją samego słowa”. „Pol-
ityka jest możnością spełniania aktów
siły i pewności, a dyktuje ją duma”
(Str. 23).

Z tęsknoty do mocy rodzą się „sny
o potęgę” p. Baczyńskiego. Tęsknoty
te są piękne i świadczą o pięknej wrażli-
wości uczuciowej na zadania chwili bie-
żącej. Zwalczają słowem z wewnątrz
płynącym niezdecydowanie i upiorem po-
kojowości polskich dyplomatycznych
zabiegów — ale są tylko teorią. Bo jed-
nak jest to obojętne dla „silnych, żyją-
cych praktyką”, czy ktoś zechce ich ży-
cie pełne trudu i walki zamknąć w tę lub
inną kategorię wartości. Czyn pozostaw-
iony zdecydowanie o sędzię. W każdym
razie „Miecz i Korona”, jako rzecz auto-
ra, który należy do pokolenia wiele za-
absorbowanego różnemi humanitarnemi
hasłami, wskazuje, że wojna oddziałała
bardzo zbawiennie na zainteresowania
społeczne i na przekonania jego ideowe.
W gruncie rzeczy bowiem jest to dla
życia naszego zbiorowego względne, kto
i jaką drogą dochodzi do koncepcji wol-
ności. Koncepcji nam nigdy nie brako-
wało i nigdy nam na nich zbywać nie bę-
dzie. Ważne jest jednak, że wśród mło-
dzieży zjednywa sobie mir przekonanie,
że „każdy cios z zewnątrz uznany zosta-
nie za obiektywnie słuszny, racjonalny,
przeciw któremu nie podnosi się wznio-
słej moralności (!), ani ideologii uczci-
wej (!), lecz walkę na śmierć albo ży-
cie”. Bo „w życiu narodów nie istnieje
brutalność w stosunku do obcych; każdy
czyn uświęca korzyść własną, ponieważ
niema reguł boskich w wszechświecie po-
za chęcią bytu i sprawdzianami moral-
ności narodowej” (Str. 31).

Jasno i mocno powiedziane i wcale
się nie różni od „egoizmu narodowego”,
ani też znanej teorii „siła przed pra-
wem”. Dziwne tylko, że książka ta,
zwalczająca różne rozmodlenia i cier-
piętnictwa, napisana jest stylem ekstazy.
Odstania jednak piękna i marzycielską
psychikę autora, który na łach pracy,
historyczności i woli polskiej, skupionej
w żołnierstwie, wyczarował miłe refle-
ksje o „Dumie narodowej”, „Miłości Oj-
czyzny” i „Słowie polskiem”.

Pro arte et studio.

Młodzież nasza akademicka wyda-
wać zaczęła miesięcznik literacki p. t.
„Pro Arte et Studio”. W zeszycie pier-
wszym znajdujemy: „Przedśpiew” p. E-
dwarda Boy'ego, „Oda na cześć Almae
Matris warszawskiej” p. Jul. Eismonda,
„Stanze” Valdy'ego, „Na dziwo ludziom,
na dziwo” St. Czosnowskiego, „Qui pro
quo” p. J. St. oraz przekłady z Rabin-
dranatha Tagory z Holderlina, p. Cz.
Mossakowskiego.

W dziale krytycznym zamieszczono
prace p. St. Łągi „Krytyka artystyczna
jutra”, „O Nocy Listopadowej” Siguifera,
Realizm G. Flauberta w „Pani Borazy”
p. Wł. Topolińskiego. O Teatrze arty-
stycznym pisze młode swe zachwyty
p. Emil Goider. O Stef. Norblinie rzuca
impresje p. T. Cieślowski. Ładnemi wi-
nietami ozdobił zeszyt czasopisma p. Jan
Ogórkiewicz. Miłe to pismo młodzieży
nie przynosi jakichś niezwykłych rewe-
lacji. Wskazuje na powagę naszej stu-
dyującej młodzieży. A hasłem tej mło-
dzieży jest: „Walka o sztukę — to wal-
ka o... człowieczeństwo”.

Teorya potrzeb ze stanowiska gospodarczego.

Dr. Edward Strasburger, docent
wszechniemy krakowskiej, wydał w oso-
bnej odbite ciekawą pracę p. t. „Teorya
potrzeb ze stanowiska gospodarczego”.
Rzecz ta była już drukowaną w „Ekono-
mieście”. Dr. Strasburger zgadza się z
Böhm-Bawerkiem i Saksem, że „siła po-
treb, a nie ich rodzaj posiada znaczenie
gospodarcze”. Z potrzeb, jako czynni-
ków rozwojowych, na postęp gospodar-
czy decydujący wpływ wywierają: „uzna-
nie i odmiana”. Dr. Strasburger całe
zadanie ekonomii formuluje w sposób
następujący:

„Człowiek odczuwa potrzeby i prag-
nie je zaspokoić coraz doskonalszym
sposobem; to go pobudza do działalno-
ści gospodarczej. Z naszych przesłanek
więc wynika, że potrzeby i konsumpcja
są podstawą nauki ekonomii” (Str. 28).

Czasy szkolne za Apuchtina.

Znany historyk polski, kryjący się
pod pseudonimem Alkara, wydał w odbi-
cie bardzo ciekawe wspomnienia, doty-
czące szkolnictwa w Królestwie pod rzą-
dami Apuchtina. Czytelnicy „Świata”
Wspomnienia te znają, gdyż były druko-
wane one na łamach naszego pisma. Dla
pokoleń przyszłych te kartki prostej a
prawdziwej opowieści będą obrazem
prerażającej tortury moralnej, jaką
stosowano do całych pokoleń.

